

BLIZZARD ENTERTAINMENT

Łowca Demonów  
Nienawiść I Dyscyplina

---

Micky Neilson

Już z daleka od wioski niósł się trupi odór.

Pomimo spowijających Khanduras chmur, noc była ciepła. Valla, łowczyni demonów wkroczyła do tego, co zostało z Holbrook — niegdyś niewielkiej osady rolniczej, dziś opuszczonej ruiny. W każdym razie wioska wyglądała na opuszczoną. Przenikliwy odór zgnilizny wskazywał, że mieszkańcy wciąż tu przebywali, choć już nie wśród żywych.

Na środku osady, przy stosie gruzu stał Josen, mentor Valli.

Jak każdy łowca nosił zbroję płytową, która chroniła jego tors, a na biodrach dwie identyczne kusze. Twarz Josena skrywał kaptur, poły płaszcz łopotały na wietrze.

Valla była ubrana podobnie; jedyną różnicę stanowił długi, ciemny szal, który zakrywał połowę jej twarzy. Córka tracza zatrzymała konia, zsiadła i rozejrzała się czujnie.

Od razu usłyszała ciche dalekie buczenie. Wydawało się, że łowcy demonów są tu jedynymi żywymi istotami. Josenowi towarzyszyło dwóch – jeden przeczesywał szczątki domów, drugi stał przy rozpadającym się magazynie.

Cokolwiek tu zaszło, przybyli za późno. Pozostawało tylko sprawdzić, czy ktoś przeżył. Ostatecznie, taki mieli obowiązek: znaleźć tych, którzy przeżyli, dać im schronienie i stawę. Pomóc im. A potem wyszukać wśród ocalonych takich, którzy pragnęli zemsty, i zachęcić ich, by przeszli szkolenie i dołączyli do łowców demonów. I wypełnili najważniejszy obowiązek: zajęli się unicestwianiem piekielnego pomiotu, który pustoszy świat.

Josen nie oderwał spojrzenia od gruzów, gdy Valla podeszła.

— Przybyłam najszybciej, jak mogłam. — Odwinęła szal, odsłaniając twarz.

Mentor nie odwrócił głowy.

— Nie powinno nas tu być. I nie byłoby, gdyby Delios wypełnił swoje zadanie.

Jego głos był szorstki jak żwir. Dopiero teraz uniósł lśniące oczy na łowczynię.

— Powiedz, co widzisz.

Valla omiotła wzrokiem pobojowisko. Kamienie i połamane drewno, pozostałości po domach, wyglądały zwyczajnie... Łowczyni rozpoznała ciemny płyn, którym były zbryzgane. Ale wszędzie pełno było też ciemnej, smolistej mazi, jakiej nigdy nie widziała.

— Studnia — zasugerowała. — Demon wyszedł stamtąd... sądząc po plamach czarnej krwi, był już ranny. Delios działał chociaż tyle. Mam nadzieję, że jego śmierć była godna łowcy.

Josen kopnął kupkę ziemi. Była mokra.

— Najdalej wczoraj. To wszystko stało się już po.

Valla dała mu chwilę.

— Po czym? — spytała wreszcie, gdy było jasne, że mentor nie zamierza dokończyć. Wyraz jego twarzy pozostał nieodgadniony.

— Chodź — rzekł krótko.

Im bliżej magazynu, tym głośniejsze i bardziej uporczywe było brzęczenie. I tym silniejszy robił się fetor. Łowca stojący przy drzwiach otworzył je zamasyście.

Na zewnątrz wyrwała się chmara much. Choć Valla przywykła do woni zgnilizny, odór z magazynu niemal zwałił ją z nóg. Zasłoniła twarz szalem, powstrzymując mdłości.

Wewnątrz leżały ciała mieszkańców wioski, poukładane w nierówne stosy. Mężczyźni, kobiety... Większość zaczynała już puchnąć. Niektóre trupy już pękły, na klepisko wypłynęły wnętrzności, drażone przez robactwo. Z ust, oczu, nosów ciekł cuchnący płyn. Fetor rozkładu mieszał się z zapachem odchodów. Wokół krążyły muchy.

Valla zmarszczyła brwi. Widok, choć makabryczny, nie pasowały do tego, co zwykle pozostawało po atakach demonów. Zmiażdżone czaszki i rany klute, płytkie lub na wylot — spodziewała się raczej zwłok rozszarpanych na strzępy, bez głów i kończyn.

—Wczoraj Deliosa widziano pod Bramwell — odezwał się Josen. — Wpadł do zamtuza, wymordował wszystkich... i znikł. Zeszłej nocy była kolejna masakra. Piętnaście ofiar w melinie palaczy opium. Rany od ostrza i bełtów z kuszy.

Valla otworzyła szeroko oczy z niedowierzania. Josen odpowiedział na pytanie, którego bała się zadać.

— Uległ zepsuciu. Straciliśmy go. Nie jest teraz lepszy od demona.

Łowcy demonów balansowali na krawędzi, między dobrem i złem. Podejmowali to samo straszliwe ryzyko. Zbyt łatwo było stracić panowanie nad strachem lub nad nienawiścią

i znaleźć się po drugiej stronie. Ale to... to nie było dzieło Deliosa. Zrobił to ktoś inny. Valla zmusiła się, by nie okazać zaniepokojenia.

— Może. Ale tego nie zrobił żaden łowca. Ani żaden demon.

— Nie.

— Może Delios jednak walczył?

— Możliwe — rzucił Josen beznamiętnie i wyszedł. Valla jeszcze raz popatrzyła na trupy. Dziwne. Nie było wśród nich dzieci.

Josen stał już przy swoim koniu. Valla podbiegła.

— Wykonałam ostatnie zadanie. Rozkazy?

— Nadal szukamy ocalałych. O świcie pojedę do Bramwell i znajdę Deliosa. Może... nie jest jeszcze dla niego za późno. — Nuta wahania w głosie mistrza łowców zdradziła Valli, co naprawdę sądzi mentor. Łowczyni wyprostowała się sztywno.

— W takim razie ja odszukam demona.

— Nie. Nie jesteś gotowa.

— Słucham? — Valla zrobiła krok naprzód. Mistrz odwrócił się do niej.

— Powiedziałem, że nie jesteś gotowa — powtórzył spokojnie, ale stanowczo. — Nie wiemy nic o stworzeniu, z którym się mierzymy. Nie znamy jego metod. Sądzymy, że to demon, który żywi się grozą... ale Delios wiedział to samo. Nie wystarczyło. Taki demon...

Josen nieznacznie opuścił wzrok.

— Taki demon potrafi sięgnąć do ludzkiego umysłu i wyciągnąć na wierzch wszystkie lęki, wszystkie żale, wszystkie wątpliwości, nieważne, jak głęboko są ukryte. Umie zmusić, by człowiek walczył sam ze sobą.

Mistrz łowców gwałtownie podniósł oczy i spojrzał Valli prosto w twarz.

— Nie zapominaj o swojej porażce w ruinach.

— To było co innego — zaprotestowała Valla. — Demon gniewu.

— Gniew, nienawiść, strach. Wszystkie mogą cię pożreć. Łowca demonów uczy się panować nad nienawiścią, ale równowagę łatwo utracić. A kiedy już się ją utraci, rozpoczyna się cykl: Nienawiść rodzi Zniszczenie. Zniszczenie rodzi Grozę, Groza rodzi Nienawiść...

— Słyszałam to tysiące razy! — przerwała mu Valla.

—Więc o tym pamiętaj. Jesteś jeszcze młoda i musisz się wiele nauczyć. Próbowałam ci wpoić, że łowca demonów musi hartować nienawiść dyscypliną. Uspokój się. Demon jest ranny i póki co nic nie zdziała. Wyślę kogoś innego.

Josen obrócił się do konia. Valla jednak jeszcze nie skończyła.

— Ruszę za Deliosem.

— Zostaniesz i pomożesz szukać niedobitków. — rzucił Josen przez ramię. — Delios jest mój. To rozkaz.

Mistrz łowców odjechał. Jego spokój tylko rozwścieczył Vallę. Wołałaby, żeby na nią nakrzyczał, żeby okazał emocje.

— Jak śmie mi mówić, na co jestem gotowa? — szepnęła. Nie była gotowa? Ona? Po wszystkim, co przeszła?

W chwilę później siedziała na koniu.

Gdzie udałby się demon? Valla zerknęła na plamy krwi wśród gruzu. Nie było żadnego tropu, który oddalałby się w jednym, wyraźnym kierunku.

Na wschodzie wznosiły się tylko góry. Na zachodzie była Zatoka Zachodnich Marchii. Daleko na południe leżało Nowe Tristram. Ale demon był ranny. Czy ryzykowałby długą podróż na południe, czy może ruszyłby na północny wschód... w poszukiwaniu kolejnych, podobnych wiosek?

Łatwa zwierzyna.

Najbliższa osada, Havenwood, leżała niecały dzień drogi stąd.

Wybór był prosty.

\*\*\*\*\*

Ellis Halstaff martwiła się o zdrowie córki.

Sahmantha leżała nieruchomo w łóżku na parterze. Na czole miała zimny, mokry kompres. Oddychała płytko.

Zeszłej nocy córka z krzykiem. Ellis, gdy wreszcie zdołała ją uspokoić, i spytała, co się stało, usłyszała:

—W mojej głowie jest coś niedobrego.

Bellik, uzdrowiciel Havenwood, odwiedził ją później; przygotował dla Sahn wywar, który miał pomóc dziewczynce w odpoczynku i zalecił zimną kąpiel.

Ale Sahn teraz spała. Ellis musiała jeszcze nakarmić synka, Ralyna, i zająć się kilkoma innymi sprawami przed zmierzchem. Kiedyś było jej łatwiej — zanim ojciec Sahn odszedł bez słowa, bez śladu, nie zostawiwszy nawet listu.

Ellis spojrzała na Sahn, wspominając jej ostatnie urodziny, kiedy to rezolutna siedmiolatka oświadczyła, że “od dziś sama o siebie zadba”, i że kategorycznie skończyła z obowiązkami domowymi. Pomyślała o serdecznym, spontanicznym śmiechu córki. Wspomniała, jak ledwie tydzień temu Sahn zdradziła jej w wielkim secrecie, że zakochała się w małym Joshui Grayu, bo ma oczy jak ze snu.

Ellis pomodliła się do Akarata, by jej córka szybko wróciła do zdrowia, miała jeszcze wiele miłych snów i nie musiała się bać choroby, która ją dotknęła.

\*\*\*\*\*

Valla siedziała przy ognisku, kilka mil od Havenwood, i wpatrywała się w płomienie. Bezwiednie przesunęła palcem po długiej bliznie na policzku.

*Nie jesteś gotowa.*

*Łowca demonów musi hartować nienawiść dyscypliną.*

Słowa Josena zaboląły. Ale im więcej o tym myślała, tym bardziej dochodziła do wniosku, że może... może nie do końca się mylił. Wspomniała wydarzenia w ruinach...

Wraz z Deliosem zmierzali na południe Ponurych Ziem. Wyprawa trwała już od kilku dni i kiepskie maniery towarzysza zaczynały Valli działać na nerwy. Łowczyni wołała działać sama, ale Josen uparł się, żeby wyruszyła z Deliosem.

Udało im się odnaleźć kryjówkę demona pośród zapomnianych ruin nieznannej cywilizacji. Valla chroniła swój umysł, jak uczył ją Josen. Ostrzegł ich oboje, że starcie z tak potężną istotą nie będzie zależeć tylko od siły fizycznej.

—To wy jesteście najgroźniejszą bronią demona — ostrzegł mentor.

Schodząc po szerokich kamiennych stopniach, Valla czuła, jak jej zdenerwowanie rośnie. Na dole kręty korytarz powiódł parę łowców do przepastnej groty ze skalnymi kolumnami, których zwieńczenia ginęły w mroku. Tylko migotliwy blask węgla w metalowych koszach rozpraszał ciemność.

Delios wyrwał się naprzód. Był lekkomyślny. Głupi. Valla poczuła pulsujący ból głowy. Świadomość demona wślizgnęła się do jej umysłu czarnymi mackami badając, kusząc, prowokując. Łowczyni zaczęła naraz rozpamiętywać irytujące nawyki Deliosa i wszystkie jego wady. Irytacja szybko zmieniła się w gniew, a gniew we wściekłość.

Delios znów ruszył pierwszy, choć Valla zawołała, by się zatrzymał. Obrócił się z kpiącym uśmiechem. I łowczyni już miała pewność: uległ zepsuciu. Przeszedł na drugą stronę. Ogarnęła ją ślepa furia, wiedziała już, że musi go zabić. Delios był słaby. Żaloszny. Należało skrócić jego męki.

Ruszyła naprzód. Łowca nie drgnął, uśmiechał się tylko złośliwie. Gdy Valla zaczęła biec; uskoczył za filar. Valla skoczyła za nim...

Nie było go. A za plecami *poczuła* olbrzymią, nieludzką obecność demona. Jego śmiech odbił się echem w umyśle łowczyni. Demon manipulował nią bez najmniejszego trudu, jak marionetkarz. Valla pobiegła za nieprawdziwym Deliose, za ułudą. Przegrała. Zaraz umrze.

Potem — wybuch. Resztę Valla pamiętała tylko w przebłyskach: Josen walczący z demonem. Delios biegnący na pomoc. Chwile, gdy odzyskiwała przytomność na tyle, by strzelić z kuszy, nim znów zapadała w mrok. Josen wykrzykujący egzorcyzm:

—Widzę cię, Draxielu, sługusie Mefista. W imieniu tych, którzy cierpieli, wypędzam cię! Idź precz, potępiony, zgiń i przepadnij!

Josen wystrzelił. Oślepiający błysk. Gdy Valli wrócił wzrok, demona już nie było.

Ruiny stanowiły próbę. (Josen powtarzał, że całe życie to próba.) Valla jej nie przeszła. A teraz... teraz Delios także zawiódł i stracił duszę.

Valla postanowiła, że pokona demona, który zniszczył Holbrook. Nie zamierzała jednak podzielić losu Deliosa...

*Straciliśmy go. Nie jest teraz lepszy od demona.*

Córka tracza stłumiła dreszcz. Istniało kilka sposobów na przepędzenie demona. Josen nauczył ją tylko jednego. Powiedział wtedy:

— Kiedy demon patrzy w ciebie, ty możesz wejrzeć w niego. A to najgroźniejsze, co może zrobić łowca demonów.

Valla nie zamierzała powtórzyć błędu. Od tamtego czasu wiele się nauczyła.

Wyciągnęła z kieszeni wizerunek swojej młodszej siostry, Halissy.

— Dla ciebie — szepnęła. Kiedy ognisko zaczęło przygasać, łowczyni oddała się ćwiczeniom umysłu, których nauczył ją Josen.

\*\*\*\*\*

*Nie dam rady, pomyślała Ellis Halstaff. Straciłam zbyt dużo krwi.*

Ucieczka przez drzwi frontowe i bieg do Havenwood nie wchodziły w grę. Eliss musiała najpierw dotrzeć do Ralyna. Był przecież bezradny. Miał ledwie półtora roku; nie opanował jeszcze nawet sztuki chodzenia, nie mówiąc już o żadnej formie samoobrony.

Wciągnęła się po poręczy schodów— ręką, w której wciąż miała czucie. Prawą nogę wlokła po ziemi.

Traciła siły. Rozpaczliwie starała się zrozumieć, dlaczego Sahn, jej własna córka, próbowała ją zabić.

Gdy skończyła prace domowe, Ellis zajrzała do Sahn, by sprawdzić, czy jest gotowa na kąpiel. Dziewczynka uśmiechnęła się, wyciągnęła spod prześcieradła najlepszy nóż do mięsa, jaki był w domu, i dźgnęła matkę w nogę, a potem w brzuch, pięć, sześć razy, jak nie więcej. Ellis serce zamarło, ale przerażona atakiem rzuciła się do ucieczki.

Głowa jej ciążyła. Kobieta dotarła już do połowy schodów, kiedy usłyszała na dole tupot stóp Sahn.



Obejrzała się. U stóp schodów stała jej piękna, jasnowłosa córka w różowej, nocnej koszuli. Koronkowy materiał był zaplamiony szkarłatem, lśniącym w blasku lampy. Sahm trzymała nóż. Krew spływała po jej prawym ramieniu i kapła z ostrza, kropla po kropli.

—Mamusi, czekaj! Muszę cię złapać!

*Myśli, że to zabawa. Jak może?*

Ellis wciągnęła się tyłem na kolejny stopień. Sahm przeskoczyła dwa schody jednym susem.

—Powiedziałam: CZEKAJ!

Dziewczynka poślizgnęła się w kałuży krwi i runęła naprzód z wyciągniętą ręką. Nóż wbił się w stopień, z którego Ellis dopiero co uciekła.

Krzyk zagłuszył wszystkie inne odgłosy. Ellis pokonała dwa ostatnie schody. Rozpaczliwie dokuśtykała do pokoju Ralyna.

*Zamknę pokój na sztabę, a potem może—*

Ellis wpadła przez drzwi i zamarła. Ralyn nie leżał w łóżeczku. Co gorsze, drewniana barierka była połamana. Resztki prętów leżały na podłodze.

Ellis półprzytomnie sięgnęła do zniszczonej barierki, by się podeprzeć. Rękę miała zimną, ociężałą.

—Tu jesteś!

Sahm stała w drzwiach z szerokim uśmiechem, takim samym, jak podczas zabaw z tatą, zanim odszedł.

Świat się zakołysał. Ellis cofnęła się o krok. Złapała jeden ze złamanych prętów barierki — długi, z ostrym szpicem. Wyrwała go i uniosła przed sobą. Ręka jej drżała.

—Coś ty zrobiła, Sahm? Co zrobiłaś braciszkowi?

Sahm opuściła nóż. Wykrzywiła usta, zmarszczyła brwi. Oczy miała wielkie i wilgotne. Wydawało się, że zaraz się rozplacze, jakby wiedziała, że była niegrzeczna, i chciała uniknąć kary.

—Zrobisz mi krzywdę, mamó?

Podłoga zachwiała się jak pokład okrętu na niespokojnym morzu. Ellis nieświadomie opuściła kołek.

—Chcę tylko wiedzieć, dlaczego... — szepnęła niewyraźnie, połykając łzy. — Dlatego, że jesteś chora? Pomożemy ci. Pójdziemy do Bellika i...

Przerwał jej ostry ból. Ellis wydawało się, że na jej zdrowej kostce zacisnęło się imadło. Krzyknęła.

Ralyn wyczołgał się spod łóżeczka. Popatrzył na matkę ciepło, z szerokim uśmiechem. Jego ząbki ociekały jasnoczerwoną krwią.

Świat pociemniał i odpłynął. Ramię Ellis opadło, głowa odsunęła się w tył. Nie poczuła już, jak Sahm wbija długie ostrze noża w jej serce.

\*\*\*\*\*

Valla dotarła na rogatki Havenwood tuż przed północą. Nie planowała przybyć w środku nocy, ale taka pora jej odpowiadała.

Nie spodziewała się, że będzie mile widziana. Łowcy demonów nawet w czasach spokoju i dobrobytu uważano ich za zły omen, zwiastunów śmierci.

Noc znowu była ciepła. Valla jechała w blasku księżyca, pośród pól, na których pozostały łodygi kukurydzy oraz snopy zboża ustawione w rzędy niczym karny regiment piechoty. Trwały żniwa.

Do jej uszu wkrótce dotarł szmer i plusk wody.

Rzeka.

Córka tracza poczuła znajomy ścisk żołądka. Nie zwolniła.

Chociaż już przed wejściem zsunęła szal, by nie budzić niepokoju, oberżysta i tak zbladł na jej widok. Na pytania Valli odpowiadał półsłówkami. Nie, nie było kłopotów. Nie, nic się nie wydarzyło. Spokój, cisza. Dała mu liścik, który o świcie miał przekazać tutejszemu uzdrowicielowi: *Gdyby coś się działo, pošlijcie po mnie.*

Już w progu Valla odruchowo przyjrzała się swojej izbie: solidny kredens, którym dałoby się w razie potrzeby zabarykadować drzwi. Brak przejścia do sąsiedniego pokoju. Łóżko pod ścianą, z widokiem na drzwi. Jedno biurko, jedno krzesło, jedno okno. Do ziemi jakieś dziesięć łokci.

Potem łowczyni zdjęła pancerz i broń. Umieściła je w zasięgu ręki, tuż przy łóżku. Dwie kusze, sztylety, strzałki, bolas, kołczan pełen bełtów — ze szczególną ostrożnością odłożyła jeden z nich, czerwony od zdobiących go run. Potem rozpakowała juki. Cały czas miała wrażenie, które dręczyło ją już w drodze — że o czymś zapomniała. O czymś ważnym. Kluczowym.

Całkowita pustka w głowie.

Wypakowała resztę dobytku, a potem usiadła na podłodze i zamknęła oczy, wyciszając umysł. Skupiła się na rytmie swojego pulsu.

Wiedza, która jej umknęła, nie chciała wrócić. Potem pojawiły się inne, uporczywe myśli.

Co, jeśli się pomyliła? Jeśli złamała rozkaz Josena niepotrzebnie?

Uznała, że nie pora teraz się tym martwić. A zagubione wspomnienie musi wrócić, prędzej czy później.

Valla usiadła przy biurku i napisała krótki list do ukochanej siostry Halissy. Opisała ze szczegółami podróż, zapewniła, że wszystko jest dobrze, że kocha siostrę i że wkrótce ją odwiedzi.

Miała nadzieję, że to prawda. Może po zgładzeniu tego demona... może wtedy Valla będzie miała chwilę dla siebie.

Włożyła list do koperty i schowała ją w torbie podróżnej.

Valla zdmuchnęła świeczkę i ułożyła się na boku, twarzą do drzwi. Znowu spróbowała odzyskać wspomnienie, lecz wciąż się jej wymykało.

Westchnęła ciężko, licząc w duchu, jak co noc, że tym razem nie przyśni się jej napaść na rodzinną wioskę. Że choć raz nie będzie to koszmar.

Zapomniała już, jak to jest śnić o czymś innym niż masakra.

Keghan Gray wszedł chwiejnie do domu, ulżywszy sobie wśród kwiatków w ogródku. Seretta nie byłaby z tego zadowolona, ale żona nie odezwie się ani słowem, jeśli wie, co dla niej dobre. Zaraz po ślubie nie zawsze wiedziała, ale z biegiem lat zdążyła się nauczyć. Czasem lekcje były trudne, ale zawsze konieczne.

Lampa obok drzwi nie świeciła... o czym Keghan z pewnością wspomni Seretcie po świcie. Przecież nogę sobie można przetrącić w takich ciemnościach. Za trzecim podejściem udało mu się zapalić knot.

W drodze do izby Keghan zdziwił się, że Rex nie wyszedł do niego. Zwykle, kiedy wracał późno z karczmy, pies witał go przy drzwiach, dysząc i merdając wesoło ogonem. No tak, przecież Rex woli pokój Joshuy... pewnie śpi tam zwinięty w kłębek przy łóżku.

Stół w izbie był pusty. Keghan poczuł narastającą irytację. Zacisnął zęby; dłonie odruchowo zwinęły się w pięści. Przecież powiedział Seretcie, żeby zostawiła dla niego kolację. Nie była przecież aż tak głupia. Może Joshua zjadł jego porcję? Jeśli tak, smarkacza trzeba będzie ukarać. Surowo, stosownie do wykroczenia.

Póki co Keghan chyba sam ukroi sobie mięsa. Powrót z wioski pobudził jego apetyt. Chwycił ze stołu nóż i uniósł lampę, kierując się do spiżarni.

W pozbawionym okien, wąskim i długim pomieszczeniu wisiało na hakach kilka solidnych kawałków wieprzowiny. Keghan uśmiechnął się do świńskiego udźca.

Pochylił się, by odstawić lampę, ale zauważył na podłodze ciemną plamę. Wino? Przysunął światło bliżej.

Krew.

Otrzeźwiało nieco... Nie powinno być tu żadnej krwi. Świnię przecież ubił i oczyścił przed domem.

Kałuża pod jego nogami rosła, krew ciekła z tyłu. Keghan wyprostował się i obrócił, uniósłszy lampę. I zaraz niemal ją upuścił. Odruchowo cofnął się o krok.

Na haku wbitym w miękki płat skóry pod zuchwą wisiał Rex. Jego futro było ciemne od krwi, która wciąż ściekała po ogonie. Wyprute wnętrzności leżały w kącie.

Ciepły podmuch wiatru wpadł do spizarni, gdy drzwi się otwały. Światło nie sięgało dostatecznie daleko, by zobaczyć, kto w nich stoi; Keghan opuścił lampę i poczekał, aż oczy przywykną do mroku.

— Ojciec? — usłyszał.

— Joshua! Włóż tu, mały. Czemu jeszcze nie śpisz?

Keghan widział tylko ciemną plamę na granicy kręgu światła.

— Włóż, mówię! Ktoś zabił psa. Rób, co ci się każe, młody!

Jego oczy przystosowały się do ciemności na tyle, że już zdołał dojrzeć sylwetkę syna. Joshua stał w bezruchu, trzymając oburącz kosę. Na zakrzywionym ostrzu migotał blask lampy.

— Ale ojciec, żniwa jeszcze nie skończone.

Keghanowi szczęka opadła. Zrobił chwiejny krok naprzód.

— Coś ty powiedział, mały? Zdurniałeś całkiem?

Jeszcze parę kroków i światło lampy padło na chłopca. Jego ubranie było poplamione... tym samym szkarłatem, który plamił podłogę.

— Tyś to zrobił? Zabiłeś psa, ty nienormalny...

Joshua w milczeniu postąpił naprzód i ciął. Keghan uniósł rękę, by się zasłonić, ale w ostatniej chwili chłopiec skierował kosę w ukośnie dół, wbił między żebra Keghana i rozerwał wnętrzności tak głęboko, że ostrze przeszło na wylot.

Keghan zagulgotał chrapliwie. Mały go przebił! Jak cholernego wieprza. Zapłaci za to. Dostanie sprawiedliwą karę.

Joshua wyrwał ostrze. Keghan natychmiast wykorzystał ten błąd. Runął naprzód i wbił synowi nóż kuchenny w gardło, po samą rękojeść.

Chłopak zwał się jak kłoda. Keghan czuł w brzuchu piekący ból. Zakaszłał, plując krwią... Wybiegł ze spizarni. Zabił własnego syna! Myślał tylko o tym, że musi uciekać — jak najszybciej i jak najdalej. Potykając się, wpadł między łodygi kukurydzy. Czuł, że zawroty głowy w każdej chwili mogą go obalić na ziemię.

Biegł tak szybko, jak potrafił, ale ból w brzuchu w końcu rzucił go na kolana. Keghan dotarł do stracha na wróble. Musiał uciekać. Gdyby tylko mógł wstać. Jeśli dotrze do wsi, do uzdrowiciela Bellika...

Podciągnął się, chwyciwszy stracha na wróble za spodnie. Po brodzie Keghanowi pociekł strumień śluzu i krwi. Jego pięść zacisnęła się na miękkiej tkaninie.

Wilgotnej, przesiąkniętej krwią. Jego?

Keghan zaczął tracić przytomność. Zacharczał opętańczo, podciągnął się i podniósł głowę, by spojrzeć na stracha...

I zobaczył wykrzywioną z przerażenia twarz swojej żony.

\*\*\*\*\*

Świt jeszcze nie nastał. Valla pochyliła się nad przykrytymi płachtą zwłokami w gabinecie Bellika. Krew, która wypłynęła z głowy zmarłego, zdążyła już zakrzepnąć.

— Kto to? — spytała.

— Durgen, kowal. Ledwo-ledwo mówił, kiedy stanął w moich drzwiach... Rzekł tylko parę słów, nim odszedł. Ale i tych paru słów było za wiele.

— Co powiedział?

— Hę?

Bellik był chudy, zgarbiony i stary jak świat; mimo ogromnych uszu, miał problemy ze słuchem. Nie ukrywał, że czuje się przy łowczyni nieswojo.

— Słowa kowala — powtórzyła Valla głośniej. — Co to były za słowa?

— Aha...

Uzdrowiciel próbował zdjąć płachtę, ale zakrzepła krew trzymała mocno. Szarpnął mocniej i odsłonił ciało ogorzałego mężczyzny. Cios roztrzaskał mu pół głowy.

— Powiedział: mój chłopiec mi to zrobił.

Valla przyjrzała się w milczeniu. Znów wróciło owo wrażenie, że zapomniała o czymś ważnym. Łowczyni odegnała tę niepokojącą myśl i skupiła się na konkretach — śmierci kowala z ręki jego syna.

Z zewnątrz dobiegł wrzask — rozpaczliwy skowyt agonii.

— Zostań tu — rzuciła Valla do uzdrowiciela, pędząc do drzwi.

W szarym blasku przedświtu chłopiec, na oko trzynastoletni, stał nad ciałem straganiarki. Trzymał młot kowalski, pokryty szarą mazią. Szczątki czaszki kobiety rozprysły się na towary rozłożone na podartym kocu.

Wówczas dopiero Valla przypomniała sobie, że w magazynie w Holbrook nie było martwych dzieci, i wreszcie zrozumiała.

Nie było dzieci, bo to one zabiły dorosłych. Bezwolne marionetki demona. Ta myśl tak nią wstrząsnęła, że łowczyni zapomniała o ostrożności. Nie miała osłony. Otrząsnęła się i szybko oceniła sytuację. Musiała działać lub zginąć.

Wrzask przyciągnął gapiów, ale Valla zwróciła uwagę tylko na jasnowłosą dziewczynkę w różowej nocnej koszuli. Mała stała po drugiej stronie drogi przecinającej osadę. W dłoni ścisnęła zaplamiony nóż, a na biodrze trzymała zakrwawione dziecko. Oczy obojga były jasne, szeroko otwarte.

Z balkonu pobliskiego domu rozległo się skrzypienie — krótkie i wysokie. To musiała być drobna osoba.

Kolejne dziecko.

Syn kowala ruszył w stronę Valli, rozciągając usta w szerokim uśmiechu.

Do małych gapiów dołączyło jeszcze dwoje dzieci: chłopczyk ciągnący za sobą miecz w pochwie i starsza dziewczyna z dużymi kamieniami w dłoniach.

Potem jeszcze jedno, ostatnie, rudowłosy chłopak bez dwóch przednich zębów, podskakujący wesoło, z siekierą w ręku. Na ulicę wyszło też pięcioro dorosłych. Kilka twarzy pojawiło się w oknach.

— Kto nie chce, żeby mu się stała krzywda, lepiej niech wróci do domu i zamknie drzwi — rozkazała Valla poprawiając szal.

— Już!

Dorośli zrobili, co kazała.

\*\*\*\*\*

Bellik patrzył przez okno.

Kiedyś, dawno temu, uznałby tę kobietę za piękną. Teraz widział w niej tylko zwiastunkę zagłady. Wiadomo przecież, że śmierć podąża za łowcami demonów krok w krok.

Dorośli pochowali się w domach, ale dzieci... dzieci wciąż były na zewnątrz. Szykowały się do ataku. Bellin przypomniał sobie ostatnie słowa kowala...

*Mój chłopiec mi to zrobił.*

Jaki obłąd ogarnął ten świat, że dzieci zmieniają się w rzeźników? A ta kobieta... ta łowczyni demonów... z pewnością zaraz je pozabija.

Pod nogami łowczyni wybuchł wielki kłęb dymu i całkowicie ją zasłonił. W chwilę później drobna postać opadła z domu Bellika wprost w szarą chmurę. Kiedy dym zaczął się rozwiewać, z naprzeciwka nadleciała siekiera, o włos mijając dziecko, które właśnie zeskoczyło z balkonu uzdrowiciela.

Bellik spojrział w bok; w rzednącej mgłę, kilka kroków dalej, podnosiła się wyższa niż dziecko postać. To była łowczyni. Dym posłużył jej do odwrócenia uwagi. Uniosła ramię, lekko poruszyła nadgarstkiem; mały chłopiec, który wcześniej przybiegł w podskokach — Bellik rozpoznał syna Traversów — przyłożył dłoń do szyi, jakby coś ukąsiło.

Bellik poczuł, że brakuje mu tchu.

*Ona zabije dzieci!*

Kyndal, syn kowala, runął naprzód z twarzą wykrzywioną opętańczym grymasem, śliniąc się jak wściekłe zwierzę. Zamachnął się młotem. Łowczyni postąpiła krok naprzód, złapała go za nadgarstek i zmusiła, by wyrostek okręcił się na pięcie tak, że wpadł prosto na drugiego chłopca — Bellik go nie poznał — gdy ten usiłował wyszarpnąć z pochwy większy od niego miecz.

Drugi chłopiec upadł na plecy. Łowczyni demonów wyrwała młot synowi kowala i uderzyła nim z dołu w zuchwę Kyndala. Zęby poleciały na wszystkie strony. Kobieta zrobiła



unik, Kyndal upadł bez przytomności. Kilka stóp dalej chłopak Traversów, z dłonią wciąż przyłożoną do szyi, przewrócił się niezgrabnie.

Łowczyni raz jeszcze machnęła nadgarstkiem, tym razem w kierunku dziecka, które zeskokczyło z balkonu — czyje ono było? Gości z Holbrook?

Zacisnął dłonie w pięści. Patrzył, jak na łowczynię demonów skoczyły jednocześnie dwie dziewczynki — Sahmantha Halstaff, wymachująca zakrwawionym nożem, i Bri Tunis, trzymając nad głową ciężki kamień.

Wiele lat temu w Kaldeum Bellik widział trupę akrobatów z odległej krainy Entsteig. Skakali, turlali się, robili salta i gwiazdy z niewiarygodną łatwością. To, co teraz zobaczył, przechodziło ludzkie pojęcie — kobieta wyskoczyła, zwijając się w locie w kłębek, by przeturlać się po upadku i podnieść się zwinnie tuż za Sahmanthą. Zdawało się, że twarda zbroja płytowa w najmniejszym stopniu nie krępuje ruchów łowczyni demonów. Kobieta poruszała się niemal zbyt szybko dla oka, ale co najbardziej niewiarygodne — kiedy podniosła się za plecami dziewczynki, Sahmantha była już związana grubą liną.

Kawałek dalej nieznajome dziecko, które skoczyło z balkonu, upadło, tak samo, jak chłopiec Traversów.

*Dość!*

Bellik podbiegł do drzwi i otworzył je w momencie, gdy łowczyni zawirowała, z nadludzką szybkością rzucając Sahmanthą w Bri. Poruszała się zmieniając kierunek jak porzecz na wietrze. Gdy skończyła, obie dziewczyny były związane.

Mały Ralyn, braciszek Sahmanthy, raczkował do łowczyni, najwyraźniej z zamiarem ukąszenia jej w nogę. Kobieta podniosła go z ziemi, dobyła sztyletu...

—Nie! — zawołał Bellik.

...i wbiła ostrze w kołnierz koszuli chłopczyka, po czym powiesiła dziecko za ubranie na pobliskiej belce. Ralyn zwiśł bezradnie, wymachując rączkami i nóżkami.

— Dzieci... — westchnął uzdrowiciel.

— Żyją. Użyłam strzałek ze środkiem usypiającym. Póki co są bezpieczne i tylko ty możesz dopilnować, by tak zostało.

Bellik rozprostował palce. Jego ramiona opadły z wyraźną ulgą.

— Dziwisz się? — spytała Valla.

— Niektórzy powiadają, że wasz cech... — urwał, spuściwszy wzrok.

— Powiedz to — syknęła wyzywająco. Bellik zebrał się na odwagę.

—...nie lepszy jest od demonów. Że w waszych oczach płonie ogień piekielny. Że śmierć idzie za wami krok w krok.

Valla podeszła bliżej, uzdrowiciel zatoczył się i cofnął.

— Wśród nas, uzdrowicielu, mówi się, że kiedy demon patrzy w ciebie, w najgłębsze zakamarki twojej duszy, wtedy ty — jeśli wiesz jak — możesz wejrzeć w niego. Lecz kiedy raz spojrzysz, już zawsze widzieć będziesz tylko łowy, tylko zemstę. Twoje oczy zapłoną tą obsesją.

Dolna warga Bellika zadygotała.

— Twoje oczy... nie płoną.

— Nie. — Wyraz twarzy Valli złagodniał. — Mam w życiu coś więcej, niż tylko zemstę.

Odwróciła się.

— Potrzebne mi miejsce, gdzie można będzie trzymać dzieci. Osobno.

Uzdrowiciel zamyślił się.

— Mamy tylko jedną celę w loszku... ale jest stajnia dla jucznych zwierząt. Stajnia wystarczy, prawda?

\*\*\*\*\*

Valla zajrzała do boksu przez zakratowane okienko. Sahmantha siedziała ze związanymi dłońmi i stopami. Opuściła głowę; jej proste, jasne włosy opadały na twarz. Pozostałe dzieci znalazły się w innych boksach, niektóre w parach lub trójkami, ale Valla uparła się, by Sahmanthę zamknąć osobno.

Kiedy posadzono dzieci na wozy, by przewieźć je do stajni, wokół zebrali się mieszkańcy wioski. Wiele z nich rwało się do bijatyki, a ich gniew skierowany był przeciw

Valli. Ale wszyscy ufali Bellikowi i to jego słowa złagodziły napięcie — póki co. Nawet teraz dorośli czekali przy stajni. Valla słyszała ich płacz i przekleństwa.

— Chcą wiedzieć, dlaczego to się dzieje. Dlaczego dzieci? — spytał Bellik, który właśnie skończył rozmawiać z miejscowymi.

Valla otworzyła drzwi do boksu, weszła i uklękła na suchej słomie.

— Zamknij za mną.

— Ale...

— Zrób to.

Zasuwa opadła z trzaskiem. Valla rozgarnęła włosy Sahmanthy i złapała ją za podbródek. Dziewczynka miała zamknięte oczy.

Jej blond włosy, jasna skóra... wszystko to przypominało łowczyni Halisę. Zawsze miała taki radosny wyraz twarzy, kiedy patrzyła na swoją starszą siostrę. Valla wspomniała jasne, przenikliwe oczy Halissy i jej niespożytą energię.

Łowczyni nie mogła okazać słabości przy uzdrowicielu, ale zalała ją fala mdłości, smutku i obrzydzenia. Poczła straszliwe zmęczenie — ciała i ducha.

Wspomniała swoją wioskę w Zachodnich Marchiach. Swoją rodzinę. Starła się odpędzić uporczywe obrazy rzezi, do której doszło, gdy Valla była ledwie dzieckiem, te same przebłyski, które dręczyły ją co noc: wrzaski umierających, krew, szpon demona przy szyi, rozdzierający jej policzek; ucieczka, dłoń Halissy w jej dłoni; kryjówka koło rzeki...

A potem spotkanie z innymi, których dotknął podobny los, i pierwsza wzmianka o łowcach demonów. Nauki u Josena, powolna przemiana we wcielenie zemsty, broń, która ma uderzać w samo serce ciemności.

Valla bezwiednie potarła swoją bliznę. A potem nachyliła się do Sahmanthy.

— Mów, demonie.

Żadnej odpowiedzi.

— Nie igraj ze mną. Nie wygrasz. Masz tylko jedną szansę na przeżycie, powrócić do swojego przeklętego pana w nadziei, że może Piekło okaże ci litość. Bo na moją litość nie licz. Mów, jak masz na imię.

Sahmantha nawet nie drgnęła.

Valla puściła głowę dziewczynki, wstała i podeszła do zakratowanego okienka.

— Uzdrowicielu! Pytałeś, czemu demon wybrał dzieci... Powiem ci. Ten żaloszny, podrzędny pomiot piekieł żeruje na najmłodszych, bo jest słabym, marnym sługusem, który błaga swoich panów o najgorsze resztki. Poluje na bezbronnych.

Bellik po drugiej stronie okienka uniósł brwi w zdumieniu.

Wtedy Valla to poczuła: ruch, tuż za nią, i cichy szmer.

Córka tracza obróciła się szybko. Dziewczynka stała na palcach, wygiąwszy plecy w łuk, z głową na ramieniu... Włosy jej opadły, na twarzy wystąpiły żyły, wytrzeszczone oczy były przekrwione, mętne. Kiedy otworzyła usta, zdawało się, że nie zdoła wydobyć z nich słów. Potem...

— NIE ODWRACAJ SIĘ DO MNIE PLECAMI, KOBIEITO!

Głos był napięty, zgrzytliwy, jak chrapliwy i głośny wdech.

— PRAGNIESZ STAWIĆ MI CZOŁA? — Głowa dziewczynki przechyliła się z na drugie ramię sztywno jak u lalki. — PRZECENIASZ SIĘ, PODRZĘDNA ISTOTO. ALE MOŻE ZAPEWNIŚ MI ODROBINĘ ROZRYWKI. UWOLNIJ MNIE, A ZOBACZYMY...

Valla dobyteła ostrza. Bellik zaprotestował słabym jękiem, przyciskając dłonie do uszu. Łowczyni nie poświęciła mu uwagi; rozciąła krępujące Sahmanthę więzy.

*Zobaczmy zatem.*

Dziecko stanęło pewniej, zrobiło dwa ostrożne kroki. Valla odsunęła się; dziewczynka powlokła się do wyjścia. Odwróciła głowę, wciąż opadającą na ramię. Puste oczy wpatrywały się w dal.

— CHODŹ.

— Otwórz drzwi — zawołała Valla.

— To bezpieczne? — zaniepokoił się uzdrowiciel. Zerkał raz po raz to na łowczynię, to na Sahmanthę.

— Nic się nie stanie. Dopilnuję tego.

Z wahaniem Bellik wykonał polecenie. Dziewczynka, z podbródkiem opartym na piersi i włosami opadającymi na oczy, nie mogła widzieć, gdzie stąpa, a jednak ruszyła pewnym krokiem w głąb stajni.

Bellik ominął ją szerokim łukiem. Razem z Vallą poszli za dziewczynką, wzdłuż boksów, w których zamknięte były pozostałe dzieci. Po prawej, starsza dziewczyna, która wcześniej wymachiwała kamieniem, stała przy drzwiach, zaciskając ręce na prętach w oknie. Gdy przemówiła, z jej ust dobył się głos demona.

— JAM JEST OLPHESTOS. JAM JEST SZPIEG, STRĘCZYCIEL, PASTERZ UDRĘCZONYCH, RZEŹNIK POTĘPIONYCH...

Bellik rozejrzał się z przerażeniem i znów przycisnął dłonie do uszu. Sahmantha szła dalej. Chłopiec, który próbował dobyć miecza, podciągnął się do okienka po drugiej stronie. Głos dobiegał teraz z jego ust.

—PODŻEGACZ, ZBIERACZ, KAT, GARDŁO MILCZĄCEGO KRZYKU...

Kolejne dziecko odezwało się z boksu po prawej stronie Sahmanthy.

— PRZEWOŹNIK, ZŁODZIEJ UTRACONYCH MARZEŃ, ZDRUZGOTANEJ NADZIEI I KONAJĄCEJ ROZPACZY...

Zza krat w ostatnim boksie wyjrzał się syn kowala. W miejscu, gdzie miał kiedyś przednie zęby, ziała krwawa jama.

— PRAWA RĘKA GROZY. WEWNĘTRZNE OKO. POZNAJCIE MNIE, A POZNACIE TO, CO NIEWYSŁOWIONE.

Bellik trzymał się blisko Valli. Sahmantha wkroczyła w światło dnia.

Valla, zsunąwszy szal z twarzy, wyszła tuż za nią. Natychmiast otoczył ich tłum.

— Z drogi! Zróbcie miejsce! Belliku, pomóż mi!

Ludzie napierali na kobietę, wypytujac i rzucając oskarżenia. Bellik krzyknął, by przepuścili Sahmanthę.

Valli udało się rozdzielić ludzi przed dziewczynką. Mała szła dalej, ruchy miała chaotyczne, chwilami spazmatyczne, a w zaraz potem zgrabne, niemal płynne. Zgromadzeni podążyli za nią. Minęli sklepy, kierując się ku wschodniemu skrajowi wioski.

Sahmantha przyśpieszyła. Kilka osób zostało w tyle. Bellik sapał ciężko, zaczerwieniony z wysiłku.

Wąska ścieżka wiodła na pola. Sahmantha, zataczając się, stanęła na kępce uschłej trawy. Wyprostowała się, uniosła głowę, a świszczący głos demona zabrzmiał ponownie.

— PRAGNIESZ WALKI? CHODŹ WIĘC...

Dziewczynka uśmiechnęła się, ale kiedy znów przemówiła, z jej ust dobiegł tylko głos dziecka, Sahmanthy Halstaff.

— Możemy razem porozrabiać.

Powieki dziewczynki opadły nagle, ciało zwiotczało. Osunęła się na ziemię.

Valla doskoczyła do niej i nachyliła się, by sprawdzić, czy Sahmantha żyje. Usłyszała słaby oddech.

Większość dorosłych zdążyła już ich dogonić. Mieszkańcy wsi otoczyli ciasnym kręgiem łowczynię demonów, Samhanthę i Bellika, który stanął nieopodal i złapać tchu. Valla uniosła oczy, jakby spodziewała się, że demon spadnie zaraz z nieba.

Potem opuściła wzrok. Przeczesła palcami obumarłą kępę. Trawa wyrosła tu w kształt dużego oka. Widniały na niej czarne plamy — ślad demonicznego skażenia.

— Uzdrowicielu, co jest pod nami?

Bellik uniósł brwi.

— Nic.

— No, niezupełnie

Valla i Bellik popatrzyli na tego, kto się odezwał — otyłego gospodarza z gęstym, białym wąsem.

— Tuż pod nami płynie rzeka Boshum.

Bellik zerknął na Vallę. Nie był pewien, czy oczy płatają mu figle, ale zdawało mu się, że kobieta pobladła.

— Ale słyszałam rzekę, kiedy wczoraj przyjechałam. Nawet teraz słyszę jej szum.

Wąsaty rolnik zmarszczył brwi z lekką irytacją.

— Nie, pani, to nie Boshum... ino kanał, co go osadnicy wykopali dawno temu, żeby puścić wodę gdzie inszej... Prawdziwa Boshum to płynie z Lawinowych Gór...

Wskazał palcem na północny wschód.

— I wnet wpływa do leja. A potem głęboko pod tą ziemią... i wypływa nazad, dwa dni drogi stąd, na zachodzie.

Valla rozejrzała się po okolicy.

— Nie macie studni?

— Gleba za miastem jest dobra, ale ziemia tu twarda jak żelazo. Pewno łatwiej było kanał wykopać, w dawnych czasach.

— Ten lej i miejsce, z którego rzeka wypływa z powrotem... — westchnęła Valla. — Nie ma innej drogi na dół, do rzeki?

Rolnik splunął.

— Ano, ni ma.

— A ten lej? Gdzie?

Gospodarz skinął głową w stronę gór.

— Tam. Z pół dnia stąd.

Bellik zerknął pytająco na łowczynię.

— Co... co teraz? — spytał.

Córka tracza poprawiła szal i omiotła tłum wzrokiem.

— Zostańcie tu i trzymajcie się razem. W gromadzie siła. Zabierzcie Sahmanthę z do stajni. Zwiążcie i zamknijcie wszystkie inne dzieci, do szesnastu lat. — Jeszcze raz spojrzała na Bellika.

— I przyprowadźcie mojego konia. Jadę zabić demona.

\*\*\*\*\*

Huk wody grzmiał jak burza.

Valla stała na skraju jamy, do której wpływała Boshum, i spoglądała w wirującą kipieli. Rzeka wpadała w zagłębienie, i wirując coraz szybciej wpływała w mrok pośrodku leja.

Chłodne krople pryskały łowczyni w twarz. Wpatrując się w wir i słuchając jego łoskotu, kobieta wspomniała noc, kilka tygodni po ataku na jej wioskę...

Valla i Halissa przylgnęły do siebie, by się ogrzać. Wielkie krople deszczu rytmicznie uderzały w ziemię. Halissa, wyczerpana, zasnęła, ale podobnie jak każdej poprzedniej nocy, dopadły ją koszmary o masakrze. Obudziła się z krzykiem i pobiegła...

Pobliska rzeka pędziła szaleńczo, wylewając się z brzegów. Halissa podbiegła zbyt blisko, poślizgnęła się w błocie, wpadła... wyciągnęła rękę...

Valla bała się, że jej siostra zostanie porwana przez nurt, że straci ją na zawsze, że zniknie w ciemności, jak woda w wirze, który przypomina pusty oczodół.

Serce zamarło łowczyni na samo wspomnienie. Ale zdążyła złapać dłoń Halissy. Udało się. Wszystko skończyło się dobrze.

Valla wróciła do terażniejszości. Coraz mocniej odczuwała uporczywą pustkę w głowie, nicość po zaginionym wspomnieniu. Cokolwiek to było, powtórzyła w duchu, nie miało znaczenia. Ogarniało ją zmęczenie, ale musiała to skończyć. Dla Halissy.

Wiedziała, że pancerz ją tylko obciąży, więc go zdjęła. Włożyła uzbrojenie do sakwy, którą wcześniej wręczył jej Bellik. Były w niej też hubka i krzesiwo, owinięte w kozią skórę. Łowczyni wrzuciła też do sakwy bolas i różne rodzaje bełtów z wybuchowymi grotami.

Schowała tam też szal i płaszcz, by nie obciążały jej w wodzie. Zapięła bagaż i stanęła nad rozpadliną.

Valla nie wyobrażała sobie nic bardziej potwornego od demona, który wykorzystuje dzieci. Poczwała w sercu gorącą, nieustępliwą furię. Ale przecież demon na to właśnie liczył, prawda?

Pomyślała o Deliosie. O jego porażce.

*Łowca demonów musi hartować nienawiść dyscypliną.*

Zdawała sobie sprawę, że może po prostu zginąć tu i teraz, że wzburzone fale mogą wciągnąć ją w głębinę i nigdy nie wypuścić.

Valla wzięła głęboki oddech. Skoczyła.

\*\*\*\*\*

W oku leja panował chaos. Świat znikł, gdy Valla starała się zapanować nad ciałem. Płuca płonęły jej od wstrzymywanego oddechu, bała się, że traci przytomność. Wir rzucał nią



na wszystkie strony, obracał i wciągał coraz głębiej, w zamęcie zapomniała o sakwie. Wokół panował nieprzenikniony mrok. Kierunki zniknęły.

Wir pchnął ją gwałtownie, uderzyła w ostre kamienie, potem porwał ją nurt rzeki.

A wtedy...

Palce Valli znalazły punkt zaczepienia. Łowczyni chwyciła solidny stalagmit, walcząc ze wzburzonym nurtem. Wynurzyła się i łapczywie zaczerpnęła powietrza.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, że wciąż ściska sakwę, i poczuła falę ulgi. Oczy zalewała jej woda. Nawet gdy wytarła twarz o ramię, i tak wszystko widziała rozmyte.

Powietrze było zimne. Valla wyczuła stopą kamienny brzeg. Wzrok zaczął się jej wyostriać. Zamachnęła się i wrzuciła sakwę na skalny występ, a potem wyciągnęła się z rwącej rzeki.

Usiadła, dając mięśniom odpocząć, rozejrzała się po otoczeniu. Wydawało się, że to labirynt wnęk i tuneli. Ściany, skalne kolumny i część stropu pokrywały fosforyzujące algi. Dawały światło — upiorne i nieziemskie, ale przynajmniej pochodnia była zbędna.

*Dobrze, pomyślała Valla. Ręce wolne.*

W straszliwym huku wody tonęły wszelkie inne odgłosy. Valla wyjęła z sakwy płaszcz — który cudem chyba nie zamókł — i narzuciła go na plecy, by się nieco ogrzać. Wypakowała broń, z satysfakcją zauważywszy, że nie zgubiła szkarłatnego belta, załadowała kusze i wstała.

Z kuszą w każdej ręce zajrzała w głąb jaskini. Zobaczyła rzędy wapiennych kolców na podłodze i sklepieniu, niczym w paszczy wygłodniałego rekina. W mroku przemknął cień.

Valla ruszyła za nim, wyczuwając niemal natychmiast dotyk umysłu demona, odrażającej i złowrogiej istoty czyhającej tuż na skraju świadomości, niczym cień wilka w ciemnym lesie.

Kiedy wkroczyła głębiej do jaskini, wrażenie się wzmogło. Wszystkie zmysły łowczyni były w gotowości. Jej serce biło jak opętane.

*WITAJ*, zabrzmiał głos w jej głowie. Valla przeszła na koniec jaskini, gdzie w ciemności ginął tunel. Jarzące się algi rosły tu dużo rzadziej. Dostrzegła plamy tej samej czarnej substancji, którą pokryta była studnia w Holbrook.

Ukłęła, zanurzyła palce w lepkiej mazi.

*CO ZA UPÓR W TOBIE DRZEMIE. CO ZA ŻĄDZA.*

*DLACZEGO?*

*OKO ZOBACZY.*

Valla wstała i zakradła się do tunelu, trzymając kusze w gotowości. Na ziemi dostrzegła ruch, a potem ujrzała go — lekki połysk w słabym świetle, a potem czarna macka rozwinęła się, uniosła i uderzyła. Valla wystrzeliła; kończyzna cofnęła się gwałtownie, ale łowczyni pojęła, że same kusze nie wystarczą, by zwyciężyć w tym starciu. Przypięła jedną z nich do uda i wyjęła sztylet. Wciąż czuła tępy ból, gdy demon usiłował wedrzeć się do jej umysłu. Wydawało się, że to długie, czarne macki, podobne do tej, która ją zaatakowała.

*CÓRKA TRACZA.*

Valla chlasnęła w poprzek, odcinając czubek zbliżającej się macki. Znów odskoczyła szybko, ale obca istota w jej umyśle sięgała coraz głębiej.

*ALEŻ ROZKOSZNE MASZ WSPOMNIENIA, WORKU Z KRWIĄ. DOJRZAŁY JUŻ DO ZBIORÓW.*

Valla nie ustępowała. Natarła, choć czuła w głowie setki igieł. Ściany były tu gęsto pokryte czarną, lśniącą mazią.

*WIOSKA. RODZINA. PRZYJACIELE. CIEPŁO, SCHRONIENIE. SZCZĘŚLIWE DNI.*

*POTEM...*

*DEMONY. JAK SZARAŃCZA.*

Ściany zdawały się pulsować; kolejne macki wyłaniały się z mroku i prostowały. Valla schowała drugą kuszę, wyciągnęła kolejny sztylet i zaczęła ciąć na lewo i prawo.

*UCIECZKA.*

*TCHÓRZ.*

*ZOSTAWIŁAŚ RODZINĘ. NA PEWNĄ ŚMIERĆ.*

Valla przez chwilę zmagala się z myślą, że to może być prawda.

*Jesteś najgroźniejszą bronią demona.*

— Nie mogłam nic zrobić, tylko zginąć! — krzyknęła, robiąc salto nad ogromnym zwojem macek i tnąc głęboko. — Zrobiłam, co musiałam. Przeżyłam.

Dotarła do okrągłej galerii, otwierającej się na wielką kawernę poniżej, w której wznosiły się półkolem skalne kolumny, cienkie pośrodku, szerokie u góry i przy podstawie. Ból rozsadzał łowczyni głowę. Demon naciskał mocniej.

*WRZASKI. ŚMIERĆ. WIOSKA... UNICESTWIONA.*

*RODZINA... UNICESTWIONA.*

—Nie opętasz mnie tak, jak Deliosa!

*KREW...*

*TAK. KREW JAK...*

*RZEKA.*

— Dość! Zmierz się ze mną i skończmy to!

*OKO WIDZI.*

*WIDZĘ CIĘ.*

Huk wody był tutaj przytłumiony, Valli wydawało się, że słyszy chichot małej dziewczynki. Zauważyła ruch przy ścianie i ruszyła w pościg.

Zaokrąglona kawerna kończyła się kolejnym tunelem, za zakrętem kobietę znów otoczyły ciemności, jej buty mlaskały w szlamie, a potem... ryk pędzącej rzeki zagłuszył wszystko.

Zatoczyła koło, wróciła w pobliże rzeki. Zza załomu wychynął cień kształtem przypominający głowę. Rozmył się w mroku niemal natychmiast.

Valla raz jeszcze ujęła kusze w dłonie, minęła załom i w oddali zobaczyła dziecko. Piekielny pomiot musiał tu ściągnąć jedno z nich... jako żywą tarczę.

Mała postać zaczęła uciekać. Valla pobiegła za nią. Zbliżały się do rzeki. Valla dostrzegła teraz dziecko wyraźnie — dziewczynkę. Dziewczynkę z długimi, jasnymi włosami.

*BURZA. DESZCZ.*

Dziecko zamarło w nienaturalnym bezruchu. Valla zwolniła kroku, gotowa na zasadzkę. Serce dudniło jej w piersi.

*SIOSTRA.*

Dziewczynka obróciła się. Miała twarz Halissy.

*RZEKA. UCIECZKA. STRZASKANY UMYŚL.*

To nie mogła być Halissa. Ale wyglądała zupełnie jak ona. Dziewczynka blada jak śmierć. Mokra skóra, zaczęła opadać z niej płatami. Jedno oko wytrzeszczyło się groteskowo.

Valla znieruchomiała. Ból w głowie stawał się nieznośny. A mur, który odgradzał ją od zaginionego wspomnienia, rozpadał się powoli.

I przypomniała sobie...

*TAK.*

Przypomniała sobie noc, gdy Halissa, doprowadzona do obłądu nieustannymi koszmarami, wyczerpana życiem jak ścigane zwierzę, udręczona wspomnieniami rzezi, uciekała. Przypomniała sobie, jak biegnie za nią pośród burzy.

Dziewczynka w jaskini uśmiechnęła się. Z jej ust wysunęły się czarnego szczypce.

Halissa poślizgnęła się, a serce Valli skuł lód. Halissa wyciągnęła rękę, a Valla ją złapała...

Ale nie mogła utrzymać śliskiej od deszczu dłoni. Halissa krzyknęła, tylko raz, i zniknęła.

*PRÓBOWAŁAŚ TO UKRYĆ. POGRZEBAŁAŚ TAK GŁĘBOKO. ALE OKO WIDZI.*

*NIE BĘDZIESZ MIAŁA DOBRYCH SNÓW. NIGDY.*

Valla padła na kolana przed dziewczynką w jaskini. Czarna macka wychynęła z rwącej rzeki, ślizgając się po podłodze jak wąż. Złapała Vallę za ramię i zaczęła ciągnąć. Jeden ze sztyletów wysunął się z odrętwiałych od zimna palców kobiety. To nie miało znaczenia. Nic już nie miało znaczenia.

*CZEMU DZIECI? DZIECI TO NADZIEJA. JAM JEST NISZCZYCIEL NADZIEI. JAM JEST GROZA ŚMIERCI Z RĘKI UKOCHANYCH. JAM JEST GNIEW UTRACONEJ NIEWINNOŚCI.*

*Zniszczenie rodzi Grozę, Groza rodzi Nienawiść, Nienawiść rodzi...*

*TAK.*

*DELIOS. TYLE W NIM NIENAWIŚCI.*

*A W GŁĘBI TO TYLKO WYSTRASZONY CHŁOPCZYK. GOTÓW ZNISZCZYĆ WSZYSTKO.*

Valla poczuła szorstkie kamienie. Macka zaciągnęła ją już na brzeg rzeki.

*JESTEŚ MOJA.*

Ale pozostał jeszcze jeden fragment zaginionego wspomnienia.

Przypomniała sobie ognisko.

Macka wciągnęła ją do wody. Druga sięgnęła do wolnego ramienia kobiety. Tutaj rzeka była o wiele głębsza. Valla zamknęła oczy, wstrzymując ostatni oddech. O czym jeszcze zapomniała?

Ognisko. Ćwiczenia umysłu. Pogrzebała śmierć Halissy głęboko. Ale dlaczego?

*Przypomnij sobie.*

Żeby demon zaczął jej szukać. Valla widziała go w swoim umyśle jako setki ciemnych macek.

*Kiedy demon patrzy w ciebie, ty możesz wejrzeć w niego.*

Valla wyobraziła sobie, jak chwyta świadomością jedną z macek, podąża za nią do źródła...

*CÓŻ TO MA BYĆ?*

*To najgroźniejsze, co może zrobić łowca demonów.*

Świadomość Valli wtargnęła do umysłu, który próbował nad nią zapanować. Widziała tylko wielkie, złowrogie, czerwone oko. Ruszyła na nie bez wahania. Wokół zaroilo się od pełzających, wijących się istot. Ale im bardziej się zagłębiała, tym bardziej rosła jej determinacja... i otoczenie nabrało kształtu.

W nagłym przebłysku Valla zrozumiała, z czym się mierzy.

Otworzyła oczy pod wodą. A w ciemnej, straszliwej głębinie...

Płonęły jak ogień.

*Teraz ja widzę CIEBIE.*

Poczuła, jak intruz wycofuje się z jej świadomości, jak macki puszcza ją jej ramiona. Cięła od siebie sztyletem, który wciąż ścisnęła, i przeorała czarne odnóża. Nurt mógł ją porwać... ale nie tym razem. Rzeka nie odbierze jej już niczego więcej.

*Olphestos to nawet nie twoje prawdziwe imię, potępieńcze.*

Valla odbiła się od wody i chwyciła skalistą półkę. Podciągnęła się. Zwłoki Halissy, teraz z wyrazem przerażenia na twarzy, zaczęły się cofać.

*Widzę cię. Jesteś Valdraxxis. Zwykły piechur. Wygnaniec. Porzucony.*

Martwa dziewczynka obróciła się i zerwała do panicznej ucieczki.

*Podczas wojen Władców Piekieł, dowodziłeś kampanią, która skończyła się klęską. Teraz twoi panowie mają dla ciebie tylko złe słowa i pogardę... Niegdyś byłeś kimś w Piekło, dziś nawet pobratymcy drwią z ciebie otwarcie.*

*JA...*

Po prawej stronie coś wypełzło z ciemności, coś, co mogło kiedyś być ropuchą. Spuchnięta do straszliwych rozmiarów, zdeformowana. z oczami, które jarzyły się lekko, podpełzła w stronę łowczyni.

*NIE MOŻESZ MI SIĘ OPIERAĆ.*

Valla wzięła sztylet w zęby, sięgnęła za pazuchę, i z radością odkryła, że jej bolas wciąż tam jest.

Rzuciła nim. Sznur z ciężarkami owinął się wokół żabiej kończyny. Płaz podniósł ją do oczu i zagapił się w osłupieniu.

Bolas wybuchł, urywając stworowi łapę razem z głową. Valla chwyciła rękojeść sztyletu i ruszyła za dziewczynką.

To nie były zwłoki Halissy. Po prostu kształt przybrany przez demona, by osłabić Vallę.

*Teraz ty jesteś słaby, sługusie.*

Z otworów w ścianach wyłoniły się kolejne, potworne istoty; pierwsza podbiegła bokiem i machnęła jednym, ogromnym szponem. Valla wskoczyła na bestię i wbiła sztylet między płyty jej pancerza. Nogi stwora ugięły się pod ciężarem kobiety. Odpięła jedną z kusz.

Kolejna poczwara skoczyła do przodu. Valla wystrzeliła bełt, druzgocąc przypominającą rękę kończynę, potem drugi, przebijając wyłupiaste oko. Nie przerywając pościgu za swoją fałszywą siostrą, odrzuciła sztylet i wyjęła kusze.

Trafiła na długi korytarz. Ściany tu wydawały się ruszać od pełzających owadów — na Vallę natarła śliska, mokra fala wstrętnych karaluchów, stonóg, żuków.

Łowczyni zatrzymała się, przyklękła na jedno kolano i kilka razy wystrzeliła z obu kusz. W korytarzu wybuchły płomienie. Poczowała na twarzy ciepło; gdy zelżało, wijąca się masa była już tylko mokrą breją. Valla pobiegła naprzód, depcząc niedobitki robactwa.

Minęła zakręt. To, co zobaczyła, nie przypominało dziewczynki.

Stała naprzeciw własnego odbicia. Zrobiła krok naprzód, wyciągając spod kurtki szkarłatny bełt. Lustrzana Valla otworzyła usta, z których dobył się gęsty, czarny szlam. Ta sama maź pociekła jej z nosa. Blizna na policzku rozwarła się; stąd też wypłynął śluz. Oczy wypełniły się czarną cieczą i lustrzana Valla zaczęła płakać krwią.

*Nie. To nie jestem ja. To nigdy nie będę ja.*

Lustrzana Valla odskoczyła, minęła ciemną wnękę, obiegła ogromny kamienny filar. Łowczyni szła za nią, z kuszami w gotowości. Za filarem opadła na kolano i zaczęła mówić...

— Widzę cię, sługusie Płonących Piekieł...

Demon wyłonił się z wnęki i machnął grubym ramieniem, zakończonym ząbkowanym, chitynowym ostrzem. Gdyby córka tracza spóźniła się o sekundę, cios urwałby jej głowę.

—W imieniu tych, którzy cierpieli, wypędzam cię!

Demon był gigantyczny. Przypominał stwora żyjącego na dnie oceanu, gdzie nigdy nie dociera światło. Zamiast nóg miał opuchnięte czarne macki. Tors pokrywała mu twarda skorupa, najeżona kolcami. Ciało oblepiał szlam, czarny jak noc.

— Idź precz, potępiony, zgiń i przepadnij!

Ogromne czerwone oko z wąską, poziomą źrenicą wbiło się w łowczynię. Źrenica rozszerzyła się, gdy Valla wystrzeliła czerwony belt.

Trafił w oko, które pękło jak winogrono. Runy zalśniły, a potem wszystko spowiła eksplozja światła.

\*\*\*\*\*

Robiło się chłodno.

Valla stała patrząc na spory drewniany krzyż — grób Halissy. Od ostatnich odwiedzin zdążyło tu wyrosnąć trochę chwastów. Groby rodziców, gdy Valla już pochowała to, co zostało z matki i ojca, znajdowały się tuż obok. Wokół spoczywała reszta mieszkańcy wioski.

Josen podszedł w milczeniu. Wiatr lekko szarpał jego płaszczem.

Valla uklękła i zaczęła wyrywać chwasty.

— Wieści z wioski — zaczął Josen, jak zwykle irytująco beznamiętnie. — Wszystko... dobrze, jak na okoliczności. Dzieci znów są sobą i nic nie pamiętają... choć wiele będzie dorastać bez rodziców. Bellik i pozostali mówią, że je przygarną.

Valla zacisnęła zęby.

— Dobrze.

Josen przesunął się nieznacznie.

— Mówi się też, że mieszkańcy wioski są... wdzięczni.

Córka tracza wstała, zerknąwszy na Josena. Na lewym policzku miał trzy rozcięcia, wciąż nie zagojone.

— Co z Deliosem?

— Sprawa załatwiona.

Valla czekała na dalsze wyjaśnienia. Mistrz łowców po prostu patrzył na nią bez wyrazu.

— Słyszałam szept... — zaczęła. — Wizje ludzi z darem prorocstwa... że za siedem dni na Nowe Tristram spadnie gwiazda.

Josen zmierzył ją wzrokiem.



— Słyszałaś prawdę. Podobno to znak. Spełni się przepowiednia. Proszono, bym wysłał tam swojego najlepszego łowcę.

Valla sięgnęła pod pancierz. Zapadła cisza, którą przerwał Josen.

— To, co zrobiłaś...

— Było ryzykowne. Ale opłaciło się.

Córka tracza rozwinęła list napisany w Havenwood, pochyliła się i położyła go na grobie, przyciskając kamieniem do ziemi.

— Mówiłam, że cię odwiedzę — szepnęła.

Wstała i spojrzała na swojego mentora.

— Lubisz powtarzać, że wszystko jest próbą. Życie jest próbą. W ruinach oblałam... ale tę próbę przesłałam pomyślnie. Wiele się nauczyłam. Na przykład, że sami możemy stać się własnymi najgorszymi wrogami. Ale też, że demony nigdy nie zdołają zniszczyć nadziei.

Zachodzące słońce odbiło się w jej oczach.

— Może tobie łatwo jest zapomnieć o uczuciach, ale ja jestem inna. Przez chwilę żyłam radosnym kłamstwem, obietnicą innego życia. Czułam się... wolna.

*Jak łatwo byłoby wrócić do tego kłamstwa*, pomyślała Valla. Josen wciąż szacował ją spojrzeniem.

— To był dobry sen — podjęła — ale póki co, musi pozostać tylko snem.

Córka tracza owinęła się szalem.

— Wróciłam. Wróciłam i jestem gotowa... polować dalej.

Odwróciła się.

— A dokąd niby się wybierasz? — spytał beznamiętnie Josen.

— Do Tristram. Kazano ci przysłać najlepszego łowcę. Ja jestem najlepsza. Jadę. Masz kilka uderzeń serca, żeby mnie powstrzymać.

Valla poczekała, obrócona plecami do mistrza. Potem poprawiła szal... I ruszyła naprzód. Minęła pagórek i znikła Josenowi z oczu.

Mentor tylko patrzył. Gdyby Valla się obejrzała, zauważyłby coś niezwykłego, przelotne drgnienie na twarzy mistrza łowców, które niemal przypominało... uśmiech.